

Ewa Stawicka

Proces Anny Göldin

Palestra 42/1-2(481-482), 66-78

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WIELKIE PROCESY

Ewa Stawicka

Proces Anny Göldin

List, który nadszedł z Zurychu na ręce Johanna Jacoba Tschudi, pastora w mieście Glarus, nosił datę 19 kwietnia 1782 roku.

Dozwólcież, Wielce Szanowny Dobrodzieju, abym się u Was bliżej wywiedział o pewnej sprawie, która mię wielce zajmuje. Czy owóż prawdą jest to, co niesie pogłoska, iż są w Glarus ludzie, którzy z pełną powagą wierzą i wszem wobec twierdzą, jakoby pewna służąca domieszala nieletniej dziecinie do jej zwykłego jadła szpilek, igieł i czego tam jeszcze? Miałoby być prawdą, że także mężowie Waszego stanu i poważaniem się cieszący, owym niedorzecznym myślom posłuch dają? Czyż prawdziwe jest, że ta nieszczęsna osoba, na którą owo śmieszne podejrzenie rzucono, nadal w więzieniu pozostaje i że z racji urojonego przestępstwa ma się ona nawet w takowym niebezpieczeństwie znajdować, iż życie swe z ręki kata utracić może?

Nie! Z pełnym szacunkiem dla Waszego Kościoła i dla Waszego Wolnego Miasta – nie mogę i nie chcę w to wierzyć. Byłoby w istocie rzeczy nieznośnie zasmucającym, gdyby w naszym prześwietnym stuleciu miały się powtórzyć takowe okropne tragedie, ludzkość jako i chrześcijaństwo hańbiące, które tu i ówdzie pod osłoną przesądów się pojawiają. I to gdzie miałyby się one powtórzyć: w kraju protestanckim i takim, gdzie szlachetna wolność mieszkanię przepyszne sobie obrąta. Wstyd wielki przyniosłoby to w oświeconej Europie nie tylko Waszemu szlachetnemu stanowi, ale Konfederacji całej, jako też i naszemu reformowanemu Kościołowi. Tak myśli, Wielce Szanowny Dobrodzieju, nie tylko moja osoba, ale wszyscy rozsądni mężowie w naszym mieście, od najmniejszych do największych. I takem rozważył w sumieniu swoim, abym się Wam z tą sprawą w braterskim zaufaniu otworzył...

Dołączam Wam zatem jeno zapewnienie, iżem dla Was uniżonego szacunku pełen
– Johannes Rudolph Ulrich¹

Odległość pomiędzy Glarus, stolicą szwajcarskiego kantonu o tej samej nazwie, a Zurychem nie jest zbyt wielka, toteż zwierzchnik zuryckiego Kościoła ewangelickiego Ulrich niedługo czekał na pisemną odpowiedź. Pastor Tschudi zapewniał w niej o wzajemności swego szacunku, jednakże co do istoty poruszanej w korespondencji sprawy zajął nieprzejednane stanowisko: nie można nazywać nieszczęsną kobiety, która doprowadziła do zguby owoc własnego łona, niewinnemu zaś dziecku szlachetnych swych chlebobawców marny los zgotowała, a które to zarzuty potwierdzają liczni świadkowie. Jeśli zatem służąca nazwiskiem Göldin zostanie zgodnie

z prawem skazana na śmierć – ciągnął swój wywód miejscowy pastor – będzie to z pewnością wyrok sprawiedliwy. Dodajmy od razu, że duchowny ów nieprzypadkowo, lecz z racji bliskiego w linii bocznej pokrewieństwa nosił to samo nazwisko, co *szlachetni chlebowodawcy* uwięzionej.

Ani jeden, ani drugi autor wspomnianych listów nie nazwał w nich rzeczy po imieniu. Tym, co wzbudziło grozę w mieszkańcach innych miast, była obawa, że oto w Glarus rzucono na dziewczkę służebną podejrzenie o czary. Procesy oparte na podobnym zarzucie należały – jak się zdawało – do przeszłości. O ile do siedemnastego stulecia w sąsiadujących ze Szwajcarią niektórych niemieckich landach wyroki podobne zbierały straszliwe śmiertelne żniwo, o tyle na terenie samej Konfederacji odsetek niewinnych sięgał w analogicznym okresie nawet i pięćdziesięciu procent. W wieku osiemnastym odbyły się w Szwajcarii najprawdopodobniej trzy procesy, w których za osnowę oskarżenia przyjęto konszachty z diabłem. W roku 1737 w kantonie Zug upośledzona umysłowo Katharina Kalbacher zgłosiła się do sądu z samooskarżeniem. Twierdziła, że od czasu, gdy w wieku trzech lat opanował ją szatan, nieustannie brała udział w jego niegodziwościach, a wraz z nią sześć innych kobiet. Diabelskie uczynki miały polegać między innymi na powodowaniu pożarów, sprowadzaniu gradu, truciui bydła; nadto, wszystkie współoskarżone latały – wedle relacji Kathariny – nago do miejsc, w których odbywały się regularne sabaty. Wszystkie siedem niewiast wzięto na męki, na których opowiedziały wszystko, czego zażądali oskarżyciele – a następnie spalono. Wyjątkiem była jedna z oskarżonych, która mimo straszliwych, powtarzanych aż dwanaście razy seansów tortur, mężnie zaprzeczała wszystkim zarzutom. Gdy wreszcie zmarła wskutek odniesionych obrażeń, sędziowie doszli do wniosku, że dowiodła swej niewinności i zezwolili na pochowanie jej w poświęconej ziemi.

Nie są znane bliższe szczegóły dwóch odrębnych spraw, które wytoczono w 1753 roku w kantonie Schwyz. Wiadomo, że w jednej z nich sześćdziesięcioletnia Rosa Locker została z początku uniewinniona, potem jednak ponownie uwięziona i zamęczona na śmierć w toku przesłuchań. W drugiej, podejrzana kobieta także zmarła w śledztwie, nie przyznawszy się mimo zadawanych cierpień do współpracy z szatanem. Wiadomo, że zwłoki obydwu domniemyanych czarownic zostały chyłkiem pogrzebane poza obrębem cmentarza.

Proces Anny Göldin miał się okazać ostatnim tego typu ekscysem wymiaru sprawiedliwości w Europie.

Kiedy ją prowadzono na miejsce kaźni – przez zagajnik, nie zaś polem, aby przypadkiem cień współniczki diabła nie padł na zboże, gdyż z ziarna takim sposobem skażonego mogłoby się na nowo wylegnać Złe w ludziach, którzyby je pod postacią chleba spożyli – Anna Göldin liczyła sobie 44 lub 45 wiosen. Do owego dnia 18 czerwca 1782 roku, w którym zakończyć miała życie od ścięcia katowskim mieczem, wiodły ją lata biednego dzieciństwa, a później ciężkiej harówki w coraz to innych obcych domach. Brzmienia jej rodowego miana „Göldin” nie należy

wywodzić od rdzenia „Gold” – złoto, ale od gwarowych określeń żwirowej gleby okolic miasteczka Sax (nieco na północ od Glarus), gdzie się urodziła. Kiedy w 1615 roku szlachetnie urodzonym właścicielom miniaturowego hrabstwa Sax (nazwę tę należy kojarzyć ze zniekształconym przez dialekt słowem „Stein” – kamień) skończyły się pieniądze, sprzedali swe dziedzictwo zurychczykom; aż do rewolucji francuskiej podlegało ono *zwierzchnictwu i mocy Prześwietnego Miasta Zurych*. Faktycznie władzę sprawowali tam delegowani starostowie. Ręką jednego z nich uczynione zostały w miejskich księgach zapisy, które pomagają odtworzyć losy Anny. Dopóki żył jej ojciec (nieustannie zresztą planujący podróż „za chlebem” do Pensylwanii), rodzicom udawało się jakoś utrzymać kilkuosobową rodzinę i wywiązywać z powinności fiskalnych wobec starosty. Zwyczajowe prawo zezwalało panu osiadłemu w zamku na wzięcie udziału w dziale spadku poprzez skonfiskowanie jednej, wybranej sztuki bydła. Wykonanie tego prawa oznaczało dla matki Anny Göldin dopełnienie ruiny finansowej: pacholek starosty wyprowadził bowiem z obórki jedyną zdrową krowę. Nieletnie półsieroty musiały pójść na służbę.

Po paru latach tułaczki Anna – jako dwudziestoletnia dziewczyna – znalazła niezłą posadę służącej w domu pewnego pastora i jego żony w miejscowości Sennwald. Flirt z przystojnym terminatorem imieniem Jakob, obiecującym ślub zaraz po tym, jak uzyska papiery czeladnicze, skończył się z chwilą poinformowania go o ciąży. Kawaler, tak jak stał, wyjechał zaciągnąć się na służbę w niderlandzkim wojsku (twierdził, że w taki sposób szybciej zarobi pieniądze dla zawiązującej się rodziny), panna natomiast przez całe dziewięć miesięcy ukrywała swój stan przed pracodawcami, którzy – czy to istotnie byli tak nieuważni, czy też wygodniej im było nie dostrzegać rosnącego problemu. Rozwiązanie przeżyła Anna w samotności, w izdebce na poddaszu. Noworodka położyła sobie na brzuchu i nakryła derką, po którą udało jej się sięgnąć, po czym, zmęczona porodem, usnęła. Pastor znalazł ją ciągle śpiącą. Obok niej na zakrwawionym pościeliu leżało martwe niemowlę. O zaistniałym przypadku doniesiono kasztelanowi, który wszczął dochodzenie. Domniemywano bowiem, że Göldin celowo zabiła nowo narodzone dziecko.

W miejscowym sądzie dopuszczony został dowód z opinii biegłego lekarza, który drobniawo rozwodził się nad spotykanymi w praktyce i opisanymi w fachowej literaturze metodami dzieciobójstwa. Za wiodące wśród nich doktor uznał: uciśnięcie ciemiączka, nakłucie igłą jednej z głównych tętnic w obrębie główki, uszkodzenie kręgów szyjnych oraz różne sposoby zadzierzgnięcia. Uczona opinia była jednak bezproduktywna, jako że nie wykonano sekcji zwłok oseska wydanego na świat przez oskarżoną. Zarówno nie udawana rozpacz Anny, jak i poważne wątpliwości co do rzeczywistej przyczyny śmierci noworodka skłoniły sędziów do orzeczenia – w miejsce zwykle do dzieciobójczyń stosowanej kary śmierci – pięcioletniego dozoru „w domu rodzicielskim”. Ponieważ ani ojca, ani matki skazanej od dawna nie było wśród żywych, wyrok ten w praktyce oznaczał swoiste internowanie w miejscu zamieszkania starszej siostry, Barbary, i jej męża. Anna nie wytrzymała nieustannej inwigilacji ze strony przejętego swą rolą szwagra: uciekła po około trzech latach,

a miejscowej władzy nie w głowie było czynić wydatki na poszukiwanie zbiegłej służącej.

Göldin była postawna, zdrowa, ciemnowłosa. O losach drugiego wydanego przez nią na świat dziecka niewiele wiadomo prócz tego, że zmarło bardzo wcześnie. Jego ojcem był Melchior Zwicki: subtelny, wykształcony i delikatny młodzian, syn kolejnej chlebobawczyni Anny. Naczytawszy się francuskich książek o równości, miał szczerą chęć pojąć za żonę urodziwą służącą, która z poświęceniem pielęgnowała go w minionej, ciężkiej chorobie. Matka, wdowa po pastarze w miejscowości Mollis, dała jednak dziewczce do ręki pierwszorzędne referencje i odprawiła ją. Anna skierowała się w stronę Strasburga, gdzie prawo było nieco łaskawsze dla nieślubnych dzieci i ich matek. Po pewnym czasie wróciła jednak do Szwajcarii sama. O rzeczywistej przyczynie jej odejścia ze służby w Mollis nikt prawie nie wiedział. Rodzina Zwicki, jedna z najbardziej wpływowych i najgłębiej szanowanych w kantonie, nadal wystawiała jej jak najlepszą opinię. Dystans pomiędzy Mollis a Glarus to ledwie kilka kilometrów. Nic zatem dziwnego, że kiedy we wrześniu 1780 roku ponadczterdziestoletnia już Göldin zapukała do drzwi doktora Tschudi, który prócz wykonywania zawodu lekarza sprawował także funkcję członka ławy orzekającej sądu w Glarus – i powołała się na niedysiejszą służbę u Zwickich, okazało się to poważnym atutem w staraniach o posadę. Anna została od razu przyjęta. Zakres jej codziennych obowiązków sprowadzał się do prowadzenia całego domu oraz zajmowania się trójką najstarszych spośród pięciorga potomstwa państwa Tschudi. Dzieci natychmiast zaakceptowały nową piastunkę, a ośmioletnia Anna Maria tak mocno się do niej przywiązała, że w tajemnicy przed rodzicami przychodziła nawet do łóżka służącej, aby ta kołła jej nocne lęki.

Właściwie można byłoby wzruszyć ramionami: ot, historia o osiemnastowiecznej panie służącej, momentami melodramatyczna, z tragicznym zakończeniem, które teraz wystarczy tylko zgrabnie dopowiedzieć. W sumie – opowieść niezbyt wdzięczna do spisania współczesnym językiem, co spycha styl narracji na nieco naiwne tory. Finał? Ciemnota, zabobon, wsteczność. Mroczne lochy dziejów, których groza na szczęście bezpowrotnie skruszała.

Podobne uproszczenia wystarczyłyby może operowemu librettu. Poza oświetloną sceną toczył się jednak zgoła odmienny spektakl, w którym i zapadnie, i namiętności były zupełnie autentyczne. Jeśliby nawet przyjąć, że znane oświeconym warstwom śródalpejskich miast dzieła francuskich encyklopedystów budziły w nich tyleż zaciekawienie, co rozbawienie – to przecież nie sposób pominąć innych elementów tła, na którym rozegrał się dramat Anny Göldin. Schyłek osiemnastego stulecia to w niemieckojęzycznej części Europy czas, gdy powstały najsłoneczniejsze utwory sceniczne Mozarta, odbyła się premiera Schillerowskiego dramatu „Zbójcy”, genialny samotnik Kant zbudował nowy system filozoficzny wokół pojęcia transcendentalnego idealizmu, Goethe zaś szkicował zapewne pierwszą część „Fausta”. Samo miasto Glarus, pomimo położenia w wąskiej niecce pomiędzy nagimi szczytami, nie

było w żadnej mierze zaściankiem. Mieszkańcy od dawna wykorzystywali ukształtowanie terenu do obfitego pozyskiwania energii wodnej, co pozwoliło rozwinąć w okolicy rzemiosło. Mieszkańcy kantonu i jego stolicy zajmowali się przedalnictwem i tkactwem, a także drukarstwem tkanin. Naturalną tego konsekwencją były intensywne kontakty handlowe regionu, także z cudzoziemcami. Przyglądaniu się światu sprzyjała też znaczna zamożność tamtejszych mieszczan i patrycjuszy.

Goethe przetwarza wędrujący dotąd po ludowych klechdach i literackich opowieściach motyw Fausta. Nie jest to już więcej persona skazana słusznie na wieczne potępienie z powodu zaprzędania duszy czartu, lecz mędrzec który, rozczarowany ograniczonością nauki, decyduje się na zatrącenie duszy w zamian za możliwość przeżycia chwili szczęścia. Chce też uszczęśliwić na swoją modłę całą ludzkość. I wreszcie – mimo iż jego lojalny podpis bez wątpienia widnieje na diabelskim cyrografie – zasługuje przecież na zrozumienie i u mocy niebieskich: chór aniołów porywa go sprzed samej bramy piekła głosząc: *Kto wiecznie dążąc się trudzi, tego możemy wybawić.*

Służącej od państwa Tschudi nikt nie posądzał o chęć wywojowania sobie z diabelską pomocą chwili absolutnej radości. Zastosowano wobec niej ten wcześniejszy, po wielekroć sprawdzony i prosty schemat: kto zadał się z mocą nieczystą, winien jest kary doczesnej i wiecznej. W gruncie rzeczy, nikt się zresztą nie zastanawiał nad motywem przestępstwa. Wyjaśnijmy zatem, co zarzucono Annie Göldin.

W październiku 1781, po z górą roku nienagannej służby w domu doktorostwa zdarzyło się, że druga co do starszeństwa ich córka, wspomniana już Anna Maria, po wypiciu porcji mleka dostrzegła na dnie filiżanki szpilkę. Dziecko natychmiast głośno oznajmiło, że to z pewnością wina piastunki. Rodzice początkowo zignorowali ten alarm, ale ponieważ w ciągu następných dni dziewczynka parokrotnie znajdowała drobne ostre przedmioty w swoim naczyniu – służąca została wyrzucona z pracy, i to tak gwałtownie, że nie mogła zabrać ani swoich osobistych rzeczy, ani nawet oszczędności w kwocie szesnastu złotych dublonów, które powierzyła była swym państwu w depozyt.

Może sprawa na tym by się i skończyła, gdyby nie upór panny Göldin: czując się skrzywdzona, spróbowała zanieść skargę do starosty. Wpuszczenie jej do ratusza uznali rajcy miejscy za dowód własnej niesłuchanej postępowości. Dla służącej gra szła nie tylko o dochodzenie racji: czterdziestoletniej z górą kobiecie nie było już tak łatwo znaleźć gdzieś nowe miejsce. Załagodzenie absurdalnego – jej zdaniem – sporu o szpilki dawało szansę odzyskania dotychczasowej posady. Starosta bał się jednak podjąć decyzję w sprawie, w którą zaangażowana była potężna rodzina Tschudich. Doradził zatem dziewczce, aby spróbowała zwrócić się o mediację do pastora, spokrewnionego – jako się rzekło – z jej pracodawcami. I była to najgorsza rada, jakiej mógł udzielić: protestancki duchowny, prawdopodobnie uprzedzony już przez rodzinę o całej sprawie, uznał zabiegi Göldin za bezczelność. Anna zwróciła się zatem ponownie do starosty. Ten przyjął ją teraz z gruntu nieprzyjaźnie oznajmiając, że skoro

ona zajmowała się między innymi nalewaniem mleka do kubków, to tylko z jej winy mogły się w jednym z nich znaleźć igły. Doktor Tschudi wyniośle pozwolił jej zabrać z domu kuferek i pieniądze. Zostawiła swój dobytek na przechowanie u zaprzyjaźnionej z nią rodziny Steinmüllerów i pieszo opuściła miasto. Ślusarz Steinmüller bał się jednak jakiegokolwiek styku ze sprawą Anny i narażenia się tym samym na kłopoty ze strony klanu Tschudich; dlatego też wkrótce po jej odejściu skreślił list, w którym szczerze wyjawiał przyczynę swych obaw. Korespondencję wraz z szesnastoma dublonami powierzył posłańcowi, który miał niezwłocznie dogonić Göldin w drodze. Niewiadomym sposobem doktor Tschudi dowiedział się o tym, wysłał zaufanego człowieka, który odebrał posłańcowi całą niesioną przezeń przesyłkę i przekazał ją miejskim władzom. Pytany dużo później na tę okoliczność, doktor wyjaśnił, że uważał tę swoistą konfiskatę za w pełni dopuszczalną.

Wkrótce potem z małą Anną Marią zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Dziecko wiło się ponoć w konwulsjach i wypluwało igły, szpilki, nawet gwoździe. Podobne objawy z dawna uważano za wynik działania mocy nieczystych. Potem dołączył się jeszcze postępujący niedowład jednej nóżki. Charakterystyczne, że sensacje takie zdarzały się wyłącznie w ciągu dnia, i to zawsze pomiędzy ósmą a dziewiątą rano; wtedy też rodzice zapraszali znajomych i nieznanym, by byli świadkami cierpień córeczki. W porze nocnej dziewczynka sypiała zdrowym, nieprzerwanym snem. Drobne ostre przedmioty, które dziecko podczas paroksyzmów wyjmowało sobie z buzi, skrupulatnie rachowano. Do obserwacji objawów opętania u Anny Marii oddelegowany został zresztą specjalny urzędnik, który na krok jej nie odstępował.

Ośmioletnia Anna Maria żyła dotąd w cieniu starszej siostry Susanny, ładniejszej i bardziej uzdolnionej, a teraz znalazła się bez wątpienia w centrum zainteresowania nie tylko rodzinnego domu, ale i całego miasta. Perspektywa dłuższego utrzymania niespodziewanie zdobytej popularności wydawała się z pewnością miłą. Ponadto, na kilka dni przed tym, zanim zaczęła się historia z igłami, zdarzył się incydent, podczas którego rozhukana dziewczynka została w obecności Susanny skarcona klapssem przez służącą, matka zaś uwierzyła w nieprawdziwą relację ośmiolatki i nie tylko, że zbeształa Göldin, ale jeszcze niesłusznie ukarała starszą z córek, jej przypisując wybryki w kuchni, od których awantura się zaczęła... Od tej pory – można przypuszczać – dotychczasowa fascynacja małej osobą piastunki przerodziła się w niepohamowaną niechęć.

Napady dziwacznych dolegliwości zaczęły się pojawiać w porze, kiedy zwykle ekspediowano małą do szkoły, nauka zaś nie szła jej najlepiej: wciąż jeszcze miała trudności z opanowaniem sztuki czytania. Możliwe, że zasadniczą tego przyczyną był fakt, iż rajcowie żalowali grosza na zatrudnienie nauczycieli w dostatecznej liczbie i na przyzwoitym poziomie. Krewny ślusarza Steinmüllera noszący to samo co on nazwisko i mający oprócz dyplomu aptekarza także uprawnienia bakałarza, nie znalazł w tym ostatnim charakterze zatrudnienia; władze municypalne, wyraźnie zdominowane przez omnipotentną rodzinę Tschudich, nieskore były powierzyć

edukację młodego pokolenia osobie, która uchodziła za totumfackiego rodziny Zwicki z pobliskiego Mollis.

Rodzina Tschudi spoglądała z bezradną zawiścią na rosnącą potęgę Zwickich. Architektura ich nowego domu stanowiła wzorzec nowoczesności i dobrego smaku dla całej okolicy. Wykwint ich kuchni cieszył się zasłużoną sławą; nadzieja na dorównanie zaletom stołu Zwickich była zresztą uprzednio jedną z przyczyn, dla których doktorostwo Tschudi przyjęli na służbę Annę, która wszak w Mollis właśnie nauczyła się gotować delikatne potrawy. Wskutek zręcznie kojarzonych małżeństw, ale i wyniku takich szczęśliwych zdarzeń, jak na przykład wygrana w wysokości stu tysięcy guldenów w holenderskiej loterii państwowej – wzrastała fortuna Zwickich, a wraz z nią grono ich popleczników we wsiach i miasteczkach rozlokowanych wśród łysych alpejskich urwisk. *Prawo, logikę i Szwajcarów można najać do walki po dowolnej stronie* – skonstatował dwa wieki wcześniej angielski satyryk². Sprawa Anny Göldin stała się dla rodu Tschudich doskonałym pretekstem do wpłątania znieawidzonych rywali w kompromitującą ich sytuację.

Podejrzana tymczasem uchodziła w góry. Nie miała precyzyjnego wyobrażenia o naturze ani rozmiarach grożącego jej niebezpieczeństwa; gdziekolwiek jednak się zatrzymała, czy to u swego niegdysiejszego pracodawcy, pastora w Sennwaldzie, czy u siostry, która wzięła na przechowanie kuferek – wszędzie doganiały ją wieści o pogoni. Wreszcie Göldin znalazła pracę szynkarki w odległej miejscowości; zaangażowała się pod zmyślnym nazwiskiem. Gdy mijały tygodnie, a odgłosy pościgu – zdawało się – umilkły – Anna posłała siostrze list z prośbą o dostanie rzeczy do miejsca jej małej stabilizacji. Wprawdzie nie podpisała go prawdziwymi personaliami, lecz osoba, której go dyktowała (sama umiała jedynie czytać), skojarzyła dane adresatki z osobą poszukiwaną, o której pisano w gazetach.

Wysłannicy miasta Glarus natychmiast podążyli śladem donosu. Po trwającej wiele dni pieszej wędrówce zaśnieżonymi drogami, z rękoma skutymi łańcuchem, Anna Göldin została doprowadzona do miejsca, gdzie miał odbyć się nad nią sąd. Umieszczono ją jako aresztantkę w jednym z pomieszczeń ratusza, nie informując ani o treści zarzutu, ani o dalszym trybie postępowania.

Doktor Tschudi tymczasem, człowiek obznajomiony z nowościami współczesnej mu wiedzy medycznej, uważny czytelnik modnego podówczas dzieła Johanna Kaspara Lavatera poświęconego fizjonomice – zaprosił do swego domu niejakiego pana Irmigera. Ów weterynarz, który specjalnie przywędrował do Glarus z Pfaffhausen w pobliżu Zurychu, słynął z umiejętności uwalniania opętanych z mocy złego ducha. Jego przyjazd stał się w miasteczku sensacją; z zapartym tchem komentowano wszystkie jego zabiegi, takie jak okadzanie o świcie domu, w którym mieszkała mała Anna Maria lub rzucanie w świeży grób wypluwanych przez dziecko szpilek i gwoździ. Na koniec Irmiger zaklął domniemanego diabła w imię Jezusa Chrystusa, a gdy i po tym objawy dziwacznej choroby nie ustąpiły, orzekł: teraz może pomóc tylko ta osoba, która rzuciła na dziewczynkę urok – po czym przyjął słoń zapłatę i odjechał.

Göldin już od trzech tygodni tkwiła w więzieniu. Patrycjat miejski toczył tymczasem beznadziejny spór o to, przed jakim trybunałem należy ją postawić. W kantonie Glarus działało bowiem sądownictwo Kościoła katolickiego, Kościoła ewangelickiego oraz gminne. To ostatnie samo nie zgłaszało pretensji do prowadzenia projektowanego procesu, lecz za jego właściwością optowali przeciwnicy klanu Tschudich. Ojciec Anny Marii, jego rodzina i stronnicy byli z kolei za tym, aby oddać rzecz w ręce sądu ewangelików. Ława ta była przez nich całkowicie zdominowana, zwłaszcza odkąd wyłączono od udziału w jej obradach członków rodziny Zwicki. Ci, co na niej nadal zasiadali, to były – twierdzili przeciwnicy – „kapuściane głowy”, niewykształceni ludzie, gotowi przytaknąć „tak i amen” każdemu słowu Tschudich. Miejscowi katolicy z początku odzegnali się od całej tej awantury; z czasem jednak, gdy historia z domniemaną czarownicą stała się w centrum uwagi wszystkich mieszkańców kantonu, przedstawiciele ich wystosowali do rajców miejskich pismo z prośbą o dopuszczenie ich do udziału w procesie.

Nakaz tępienia osób trudniących się czarami wywodził się w prostej linii ze starotestamentowego: *Nie pozwolisz żyć czarownicy*³. Chrześcijaństwo, recypowawszy ową normę, podchodziło do niej zrazu dość ostrożnie. Sobory co prawda od początku piętnowały w swych uchwałach wszelkie czarnoksiężstwo, ale stanowisko pierwszych papieży nakazywało trzeźwy umiar w ocenie jego zasięgu i skutków. W XII–XIII wieku doktryna kościelna rozwinęła naukę o szatanie; jednym z następstw stało się zintensyfikowanie – zwłaszcza w wieku XV – prób opanowania ziemskich przejawów diabelskiej mocy. Od tamtego czasu aż do drugiej połowy XVIII wieku, wszystkie praktycznie europejskie ustawodawstwa traktowały czary jako przestępstwo. Takie zapisy zawierała między innymi niemiecka *Carolina*⁴. Ustawa ta, dzięki tak zwanej klauzuli salwatoryjnej, mogła być posiłkowo, to znaczy bez naruszania lokalnych prawodawstw, stosowana w całej Rzeszy, a nawet poza jej granicami. Trzeba pamiętać, że niemieckojęzyczne kantony szwajcarskie ostatecznie usamodzielniały się dopiero w roku 1648, na mocy pokoju westfalskiego kończącego wojnę trzydziestoletnią; w końcu XVIII wieku obowiązujące w nich prawo wciąż jeszcze było zdominowane przez system narzucony w czasach, kiedy stanowiły one część Reichu.

Carolina nakazywała karać śmiercią w wypadku, gdy ktoś *uczynił jakąś krzywdę innemu człowiekowi za pomoc czarów*. Szesnastowieczne ustawodawstwo świeckie przyjęło zatem ten model walki ze zjawiskiem czarnoksiężstwa, który uprzednio zdążył się już stopniowo radykalizować w doktrynie kościelnej. O ile bowiem początkowo uważano, że ścigać należy tylko te osoby posługujące się czarami, które dadzą się jednocześnie zakwalifikować jako heretycy – o tyle we wspomnianym już wieku XV stanowisko to uległo brzemiennej w skutki przekształceniu. Dwóch dominikańskich inkwizytorów, działających z upoważnienia Innocentego VIII, zdołało przekonać papieża do wydania w 1484 roku bulli, mocą której wszelkie diabelskie praktyki zrównano z herezją. Owi dwaj zakonnicy – Henryk Institoris i Jakub Sprenger – opublikowali w dwa lata później dzieło zatytułowane: *Młot na*

czarownice. Składało się ono z trzech części, przy czym ostatnia z nich zawierała normy procesowe, zalecające stosować w stosunku do nosicieli czarcich mocy tortury i postępowanie inkwizycyjne oraz nie dopuszczać w ich sprawach obrońcy. Książka ta stała się nieformalnym źródłem prawa, przywoływanym jako praktyczne uzupełnienie ustawodawstw świeckich i kościelnych. Należy podkreślić, że charakterystyczną cechą spraw wytaczanych czarownicom stało się traktowanie szatana jako strony postępowania. Zadaniem sędziów było skłonienie oskarżonego człowieka do przyznania się, albowiem to tylko mogło go uwolnić spod diabelskich wpływów.

Powstanie, a następnie rozprzestrzenienie się protestantyzmu niczego w tej materii nie zmieniło. Za czasów samego Kalwina, w 1545 roku spalono na stosach – nie bez jego aprobaty – kilkadziesiąt osób za to, że zadając się z siłami nieczystymi sprowadzić miały na Genewę epidemię dżumy. Statystyka spraw o czary na przestrzeni kilku stuleci wskazuje na to, że trudno byłoby doszukać się związku pomiędzy wyznaniem a ilością skazań na podstawie tego zarzutu. W roku 1782 pastor w Glarus odzęgnywał się co prawda werbalnie od *wstecznictwa papieżstwa*, lecz nie przeszkodziło mu to odegrać ważką rolę w sprawie Anny Göldin.

Kompetencyjny spór jeszcze długo zapewne uniemożliwiałby rozpoczęcie procesu, gdyby nie to, że rodzina Tschudich postanowiła rozstrzygnąć go siłą. Tłum pięćdziesięciu uzbrojonych mężczyzn, w którym kroczyli nie tylko członkowie onnipotentnej rodziny, ale także ich chłopska klientela oraz dłużnicy – zatrzymał się przed ratuszem, domagając się od sześćdziesięciosobowej rady miejskiej wydania decyzji o przekazaniu sprawy w ręce sądu powołanego przez wspólnotę ewangelicką. Rajcowie nie mieli specjalnego wyboru, tym bardziej że utarł się był zwyczaj, iż pięćdziesięciu *godnych szacunku* obywateli miało w każdej chwili prawo domagać się zwołania wszystkich mężczyzn na powszechne głosowanie. Dlatego też uchwała czyniąca zadość żądaniu Tschudich zapadła w ratuszu prawie natychmiast. Powoli nadchodziła też pora, aby do jego paradnej sali sprowadzić Annę Göldin.

Więc to jest twarz, dla której tysiąc okrętów wypłynęło w morze? Tak w pisanym białym wierszem dramacie Christophera Marlowe'a powitał Faust ducha Heleny Trojańskiej. Niemiecki pseudohumanista był na kartach utworu angielskiego myśliciela postacią zasługującą wprawdzie na zainteresowanie i swego rodzaju współczucie, ponieważ spełnione z szatańską pomocą pragnienia nie przyniosły mu spodziewanego szczęścia – ale, wzorem ludowych podań, nieuniknienie skazaną na wieczysty ogień piekielny.

Cała okolica nie mogła się doczekać widoku uwięzionej. Na wszelki wypadek chłopcy dopytywali się, czy aby na pewno jest ona dobrze przytwierdzona łańcuchem do ściany. Tymczasem dopełniano ostatnich czynności przedprocesowych. Zasięgnięto zdania doktora Marti, który na pytanie, czy dolegliwości córki jego kolegi po fachu mogą mieć swe źródło w mocy szatana – odpowiedział wywodem nie mającym nic wspólnego z medycyną. Stwierdził mianowicie, że wątpi co prawda,

aby Księżę Ciemności sam zniżał się do igrania z ciałem dziecka, ale przecież pomiędzy nim a Świętym Michałem istnieć musi cała gama duchów czystych i nieczystych. Należało rozumieć, że jeden z takich właśnie nie zdefiniowanych złych duchów wcielił się w postać Anny Göldin. Doktor Johann Marti wcześniej, w asyście trzech osób wydelegowanych przez radę miejską, dokonał pięciogodzinnej obserwacji małej Anny Marii w miejscu jej zamieszkania, i w czasie tego pobytu w domu państwa Tschudi miał miejsce dwuminutowy atak dziwnej choroby. Lekarz opisał go dość szczegółowo, rozwodząc się nad przyśpieszeniem pulsu i zeszywnieniem dolnej kończyny – ale nie wspominał ani słowem o wypluwaniu ostrych przedmiotów.

Postanowiono, za nigdysiejszą radą Irmigera, skłonić samą Göldin do publicznej próby „odczarowania” dziewczynki w *Imię Boże i przy wspomózeniu Ducha Świętego*. Wybrano datę 11 marca 1782 roku, dziewiąte urodziny małej. Do głównej sali ratusza przyniesiono dziecko, z więziennej celi przyprowadzono Annę. Czy potrzebuje do swych czynności jakichś ziół, a może odczynników? Nie, szlachetni panowie, złóżcie tylko ręce do modlitwy.

Przez dwie godziny łagodnie i ciepło przemawiała do dziewczynki, gładząc chorą nóżkę i delikatnymi ruchami próbując ukoić jej ból powodujący zeszywnienie. W protokołach sądowych zapisano, że nastąpiła wyraźna poprawa. Seanse takie powtarzano w ciągu następnych czterech dni jeszcze dwukrotnie, przy czym po zakończeniu ostatniego z nich przeprowadzono domniemaną czarownicę przez dom Tschudich, aby zabrała z sobą nagromadzoną tam nieczystą moc. I tam właśnie, zasugerowana przez znanego jej dobrze urzędnika, tego, który od tygodni nie odstępował jej łóżeczka – Anna Maria znieńska wymieniła po raz pierwszy nazwisko ślusarza Rudolpha Steinmüllera. Znała go stąd, że przynajmniej raz towarzyszyła swej piastunce, gdy ta odwiedzała przyjaciół poznanych jeszcze w czasach, kiedy służyła u Zwickich.

Wyraźne polepszenie stanu zdrowia dziecka po trzykrotnym zetknięciu z aresztowaną służącą uznano za najlepszy dowód, że wszystkiemu winne być muszą siły nieczyste. Taka wersja była zresztą wielce atrakcyjna dla spragnionej nowin z ratusza gawiedzi.

Na 21 marca wyznaczono termin pierwszego przesłuchania oskarżonej. Trwało ono do czwartej nad ranem. Zadawane natrętnie pytania, wciąż się powtarzające, przeplatały się z sugestiami odpowiedzi. Göldin z początku zaprzeczyła, jakoby cokolwiek złego uczyniła córce swoich pracodawców, w szczególności – aby wkładała kiedykolwiek szpilki do jej filizanki. W miarę upływu kolejnych męczących godzin zmieniała jednak wyjaśnienia. Zostało więc zaprotokołowane, że igielki pojawiały się w mleku za jej przyczyną, a także to, że w pierniczku, który Anna pewnego razu z premedytacją podała dziewczynce, gdy ta bała się sama spać i przyszła w nocy do jej izdebki, musiała się znajdować cała garść ostrych przedmiotów, wypluwanych później stopniowo przez osiemnaście tygodni. Skąd pochodził ów pierniczek? Od Steinmüllera.

Chatka z czekoladowym dachem, o ścianach całych z piernika. Zła czarownica, którą trzeba będzie spalić w piecu. *Hänsel und Gretel*. Jaś i Małgosia. Jeszcze jedna niemiecka klechda, przez wieki obijająca się między niebem a ziemią.

25 marca sprowadzono ślusarza do ratusza. W czasie przeszukania znaleziono na zapleczu jego warsztatu księgę traktującą o czarnej magii. Niektórzy już dawniej wiedzieli, że to był jego konik. Córeczka Tschudich w celowo zaaranżowanej publicznej scenie, zupełnie już zdrowa, rażno podbiegła do niego i wskazała jako osobę, od której musiały pochodzić szkodliwe łakocie. Ślusarza osadzono w osobnej celi.

Anna na kolejnych przesłuchaniach zmienia wersje: nie przyznaje się, potem przyznaje, obciąża to Steinmüllera, to znów samego diabła. 4 kwietnia z miejscowości Wyl przybywa kat nazwiskiem Volmer, wraz z pomocnikiem – rodzonym synem. Tego samego dnia kolejne przesłuchanie Göldin odbywa się w jego milczącej obecności. Stoi on obok krzesła oskarżonej, trzymając obnażony miecz. 5 kwietnia „czarownica” zostaje zaprowadzona do izby tortur. Kat demonstruje jej narzędzia i objaśnia ich przeznaczenie. Na próbę rozciąga ją za nadgarstki, aż do granicy bólu, przeznaczonymi do tego sznurami. Anna potwierdza winę ślusarza. Steinmüller zostaje z nią później skonfrontowany. Göldin na kolanach prosi go o wybaczenie i odwołuje obciążające przyjaciela wyjaśnienia. Ślusarz mimo to pozostaje w więzieniu.

W ciągu następnych tygodni, aż do 8 maja, Anna zostaje trzykrotnie poddana torturze polegającej na zawieszeniu za ręce pod sufitem, z nogami obciążonymi przywiązaniem do nich kamieniem. Protokoły zawierają już teraz wszystko to i tylko to, co chcieli usłyszeć sędziowie.

Steinmüller, nie przyznawszy się do niczego, nie jest jednak w stanie udźwignąć strachu przed zadawaniem mu mąk i wieszania się w celi.

Wyrok na czarownicę, uroczyście ogłoszony 18 czerwca 1782 roku, mógł być tylko jeden. Anna Göldin umarła, przyjąwszy nabożnie ewangelicką postugę religijną.

Alta procesu, choć skrupulatnie prowadzone, są ewidentnie niekompletne. Od dwustu lat przechowuje się je w bibliotece sądowej w Glarus. Mało prawdopodobne, by ich zawartość została uszczuplona w ostatnim czasie. Wszystko wskazuje na to, że pisarz kantonalny nazwiskiem Kubli tak manipulował materiałem, by nie wyzierała z niego cała paskudna prawda o podłożu procesu. Tak na przykład wiadomo, że Melchior Zwicky odmówił przybycia na rozprawę – nie sposób jednak ustalić, w jakim trybie, a zwłaszcza na czyj wniosek został powołany na świadka. Równie mętnie została w protokołach opisana kwestia kosztów procesu. Wiadomo w każdym razie, że doktor Tschudi odmówił ich pokrycia. Pracodawca oskarżonej sam zresztą był o krok od zaplątania się w sieci, które sam nastawił: w toku jednego z przesłuchań zadano Annie Göldin pytanie, czy obcowała cieleśnie ze swym chlebobdawcą, ona jednak – nie wiadomo, czy zgodnie z prawdą – zaprzeczyła.

Co jednak w aktach najbardziej charakterystyczne, to unikanie słów takich jak: *czary, czarownica, siły diabelskie*. Używanie jest najczęściej określenie „Kunst-

kraft” – *nienaturalna moc*, w czym znać wyraźną chęć ukrycia znamion mogących być poczytanymi za wsteczność. Zarzutu takiego i tak nie dało się uniknąć. W większych miastach Szwajcarii i Niemiec ukazały się w poczytnej prasie publikacje piętnujące ów – jak to nazwano – „mord sądowy”. Glarus przyjęło wtedy postawę obłączonej twierdzy. Faktem jest jednak, że gdy w niedługi czas potem pojawił się w pobliskiej miejscowości chłopiec wypluwający igły – poddano go wyizolowanej obserwacji w domu pastora i wkrótce wypuszczono do domu całkiem ozdrowiałego.

Wypada jednak zauważyć, że od strony finansowej obywatele miasta Glarus nie wyszli źle na historii z Anną Göldin. Koszty procesu były wprawdzie dość wysokie, bo sędziom za udział w posiedzeniach wypłacono diety w łącznej wysokości jednego dublona, to jest nieco ponad 8 guldenów, kat zaś wraz z pomocnikiem wzięli aż 314 guldenów. Ale i przychody okazały się nieliczne. Składały się na nie: 16 złotych dublonów oskarżonej objętych przypadkiem, kara za niestawiennictwo wymierzona Melchiorowi Zwicki oraz wartość skonfiskowanego majątku Steinmüllera, w tym domu i warsztatu. Ogółem, dochód netto rady ewangelickiej zamknął się kwotą 754 guldenów.

A co z motywem Fausta?

Przymiotnik *faustowski* ma dość rozbieżne definicje. Może on zatem znaczyć: gnany chęcią zdobycia wiedzy, doświadczenia; dręczony ciągłym borykaniem się z własnymi pragnieniami. Ale także: poświęcający wartości duchowe dla doczesnych uciech i materialnych korzyści.

Bohater napisanej w latach czterdziestych naszego stulecia powieści Thomasa Manna *Doktor Faustus* godzi się zostać syfilitykiem w zamian za obdarowanie go na okres pięciu lat genialnym talentem muzycznym.

Mann miał przed oczyma ohydę hitleryzmu, pyszniącą się klamrą z napisem: *Gott mit uns*. Lud prosty, mimo swego naturalnego okrucieństwa, jasno postrzegał w samozwańczym doktorze Faustusie małowniczego, co prawda, awanturnika, który jednak w ostatecznym rozrachunku z niebem racji mieć nie mógł. Późny renesans obdarzył tę postać zainteresowaniem, lecz nie udzielił jej darmowego rozgrzeszenia.

Przywilejem epok, które same siebie zwać *oświeconymi*, jest mącić klarowność tego obrazu. U schyłku wieku osiemnastego zdarzyło się, że w imię doraźnych porachunków przerzucono szatańskie odium na niewinną kobietę, na dodatek cynicznie wciągając w rozgrywkę dziecko. W wieku dwudziestym, równoległe z nazizmem i później jeszcze, opętany system wymordował, najczęściej bez sądu, kilkadziesiąt milionów ludzi, przy której to liczbie tysiące rzekomych czarownic, zgładzonych w Europie w przeciągu paru stuleci wydają się – mimo oczywistej potworności i tego zjawiska – nie tak wiele znaczące; byle epidemia siała wszak wówczas za jednym zamachem większe spustoszenie.

Żyją jeszcze ludzie, którzy mogą zaświadczyć, jak absurdalnych zeznań żądali od nich oprawcy, nie gorzej wyszkoleni niżli kat z Wyl. Ci ludzie płaczą dziś na procesach dawnych swych dręczycieli, przyglądając się bezradnie, jak tamci skutecz-

nie odsuwają od siebie potępienie. Chcąc skompromitować próby rozliczeń, dawni funkcjonariusze zbrodniczego systemu nazywają je *polowaniami na czarownice*.

Chwilo, trwaj! Jesteś tak piękna! – woła bohater Goethego.

Każdy czas ma taką definicję szczęścia, na jaką zasługuje. Dlatego kolejne epoki będą wciąż na nowo przetwarzać faustowski mit. A Johann Faust, ten rzeczywisty, który żył mniej więcej w latach 1480–1540, był zwyczajnym hochsztaplerem.

Przypisy:

¹ Cyt. za: E. Hasler: *Anna Göldin. Letzte Hexe*. Deutscher Taschenbuch Verlag, München 1985, s. 201–202, fragment w tłumaczeniu autorki niniejszego artykułu.

² Thomas Nashe: *Lzy Chrystusa*, wyd. 1593.

³ Księga Wyjścia 22, 17.

⁴ *Constitutio Criminalis Carolina*, ustawa karna ogłoszona w 1532 roku przez cesarza niemieckiego Karola V.

Literatura:

Encyklopedia powszechna, t. 6, Warszawa, Nakład S. Orgelbrandta, 1861.

Hasler E.: *Anna Göldin. Letzte Hexe*. Deutscher Taschenbuch Verlag, München 1985.

Kopaliński W.: *Słownik mitów i tradycji kultury*, PIW 1991.

Michelet J.: *Czarownica*, Warszawa 1961.

Rychcik A.: *Proces o czary w Polsce na tle europejskim*. Praca magisterska napisana na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, 1987 (niepublikowana).

Schweiz-Reiseführer. Polyglott-Verlag, München 1991–1992.

Szczygiel M.: *Powszechna historia państwa i prawa*, PWN, Warszawa 1985.